

T E O R E M A T W I L K A

— Mat — powiedział Wilk półgłosem.

Grali w zaciemnionym pokoju, pod szafą biblioteczną. Oświetlona była tylko szachownica, pokreślona długimi cieniami pionków. Kiedy któryś z graczy pochylał się nad nią gotując posunięcie, ogromny cień wznosił się na ścianę załamując się pod sufitem. Przedmioty ciemniały wokół na kształt niewyraźnych brył. Pod lampą bzykała uporczywie mucha.

Wilk poczekał, aż psycholog przypatrzy się sytuacji, po czym zgarnął z kolan pobite figury.

— Rewanż?

— Nie. Za dobrze grasz.

— Trzeba przewidywać ruchy przeciwnika.

Wieleniecki się uśmiechnął.

— Tak, ale wygrać może tylko jeden.

Zdjął deskę ze stołu. Wilk, trochę przygarbiony, patrzył w gładką powierzchnię płyty, przymrużywszy oczy. W padającym od tyłu świetle jego włosy płonęły metalicznym blaskiem.

— Wie pan — powiedział — w związku z tymi operatorami zauważyłem jedną ciekawą rzecz. Jeżeli wziąć takie wyrażenie...

Wyciągnął rękę, żeby poszukać na biurku ołówka. Wieleniecki wiedział, że jeśli mu teraz nie przerwie, rozpoczyna się zawiłe obliczenia, i nic nie powstrzyma Wilka od ukończenia ich.

— Czekaj, Karolu. Czekaj. Proszę cię, powiedz mi, w jaki sposób przeprowadzasz w pamięci rozumowanie matematyczne? Czasem, kiedy się zastanawiasz, zamykasz oczy. Czy wyobrażasz sobie wyrażenie tak, jakbyś je pisał?

Wilk zakłopotał się trochę. Opuściwszy głowę, kołysał stopą założonej nogi.

— Nie... nie widzę wyrażeń. To jest tak: kiedy pan myśli „stół”, to pan sobie nie przedstawia przecież liter s—t—ó—ł, tylko po prostu sam stół — samo znaczenie, a nie napisane, prawda?

— No... powiedzmy.

— Przynajmniej ja to tak... Ale to nie wszystko. Tam, w matematyce, nie ma takich pojęć, to znaczy są, ale... więc: jakieś słowo, powiedzmy „jeść”. Chce pan powiedzieć o tym, co pan zrobi jutro, to pan powie „zjem”, albo „będę jadł”. To się tak... samo mówi, nie trzeba szukać w głowie. I tak jest właśnie z tym... Najprostszy przykład: maxima i minima funkcji. Od razu są gotowe.

— Jak to „są”?

— No... tak właśnie jak forma gramatyczna. Tak to jest. Ale to tylko z najprostszymi. Bo jak jest trudniej — to bywa różnie. Na przykład jakieś niezmienniki przy transformacjach... przed obliczeniem wiem już, jak to będzie wyglądało.

— Ale w jaki sposób?

Wielenieckiemu wciąż się zdawało, że jest u samego progu tajemnicy, że jeszcze kilka słów chłopca, a pozna wszystko. Cofnął się w głąb fotela, w zupełną ciemność. Jasno oświetlona twarz Wilka odzwierciedlała duży wysiłek.

— Wiem... no... czuję jak... powiedzmy, siedzi pan przy stole i ktoś wejdzie całkiem cicho. Pan czuje, nie odwracając się, że ktoś jest z tyłu. Tak czasem jest. No, powiedzmy funkcja Abła, najprościej wziąć...

Znów sięgnął po ołówek.

— Nie, nie — powiedział szybko docent — już lepiej bez matematyki...

— Kiedy tak nie można... No, czuję, dokąd mogę pójść. Nie — ożywił się, uradowany. — Nie! Właśnie nie tak. Nie — dokąd mogę pójść, ale dokąd to samo idzie. Rozumie pan? Więc to jest obiektywne, to nie zależy ode mnie, prawda?

Uśmiechał się, zadowolony, że znalazł sposób wyjaśnienia.

— Jakby pan szedł z zamkniętymi oczami i zbliżał się do muru, wie pan, to się czasem nawet samemu nie wie, po czym się poznało, że mur już jest blisko. No, bo się, powiedzmy, odgłos kroków odbija czy powietrze ma inną temperaturę, ale tego świadomie nie wie się, po prostu od razu się czuje, że ściana jest tuż. Tak właśnie — z tym.

Popatrzał na Wielenieckiego, zawahał się i dodał: — Nie zawsze tak jest. Czasem to... ale tego już sam nie rozumiem. Kiedy jest coś specjalnie trudnego, to jakby lampa filowała, tak to chodzi we mnie, a jak zamknę oczy, widzę — tylko proszę się nie śmiać — szafę.

— Co?!

— U księdza w Nieczawach, gdzie mieszkałem, była szafa. W moim pokoju. Czarna szafa naprzeciw łóżka. Jak mi nie szło, to tak patrzałem w to drzewo, w słoje, wie pan. Tam było jakby oko. To mi pomagało. Teraz też.

Wieleniecki odetchnął głęboko, ukrywając rozczarowanie. Niewiele się dowiedział. — Jakże to hermetycznie zamknięte — pomyślał. Niespodzianie Wilk odezwał się:

— Wie pan, co mi przyszło do głowy. Jak włączyć radio, a nie ma odbioru, to słyhać tylko taki głuchy szum. On jest, prawda, spowodowany ruchem cieplnym elektronów w lampach. Otóż pomyślałem, że kiedy przebywa się w zupełnej ciszy, i — jak się to mówi — ta cisza w uszach szumi, to też jest taki jałowy bieg, taki luźny ruch naszych elektronów...

— Naszych?

— No tak, tych, z których zbudowany jest mózg...

Wieleniecki milczał. Wilk niejednokrotnie zaskakiwał go takimi powiedzeniami. Zaciągnąwszy się papierosem, docent gwałtownie się rozkaszał.

Wilk patrzył nań spod oka.

— Zrobię herbatę? — rzekł na poły pytająco i poszedł do kuchni. (...)

Z końcem października miał Wilk coraz więcej roboty z zapalnikami. Kiedy garaż pustoszał i wielka brania zamykała się za ostatnim robotnikiem, przechodził pomiędzy dwoma szeregami blaszanych kadłubów, ściągał z wysoka ruchomą lampę na rolkach, zapalał ją i w mocnym świetle ustawiał na falbanku długi szereg miedzianych ampułek chowanych w skrytce pod schodami. Jedną po drugiej zaciskał ostrożnie w imadle i spiłowywał według szablonu. Potem nacinał gwinty, dorabiał wieczka, ustawiał przegródki kwasoodporne, od czasu do czasu obniżając lampę, by sprawdzić postępy roboty, czyścił pilnik szcztoką drucianą, zmieniał go na inny, drobniej cięty, a robiąc to wszystko rozmyślał niespiesznie nad absorbującym go zagadnieniem.

Zakładając do okrągłych otworów spłonki uderzeniowe z piorunianem rtęci, musiał pracować z najwyższą ostrożnością i kiedy uświadamiał sobie, że jeden fałszywy ruch może rozerwać mu twarz i rękę, myślał o Polakiewicz, który dumny byłby z ucznia... inna rzecz, jaką by zrobił minę na wieść o jego „nadliczbowych godzinach”...

Jeśli jednak na moment rozluźnił uwagę, wracał zaraz do porzuconego wątku matematycznego. Jedyńm człowiekiem, któremu — co prawda niejasno — zwierzył się z tego, że porwał się na wielką rzecz, był Marcinów. Wielenieckiemu nie powiedział nic — dlatego też zmilczał, spytany „czemu nie może teraz umrzeć”. Docent miałby prawo spytać go o istotę problemu, ale nie zrozumiałby odpowiedzi, a Karol nie chciał go urazić. Problem pojąłby Rzepicki, lecz jemu nie chciał go zdradzić. Natomiast Marcinów, taki daleki od matematycznego świata, w którym przebywał Wilk, rozumiał go przecież po swojemu: „Ryba musi pływać” — mówił — „ptak latać, a Wilk — rachować”...

Był to żart, lecz przesycony ciepłem serdeczności; Marcinów, nie wtrącając się wprost do pracy Karola, mimochodem niby zauważył, że musi podrzucić mu kogoś do pomocy przy sporządzaniu zapalników, lecz chłopiec odmówił; Marcinów przyznał zresztą słuszność jego argumentom: w razie jakiejś niespodzianej wizyty zapalniki można było ukryć bez trudu w stosach rupieci na strychu, trudniej przyszłoby ukryć człowieka.

Problem zawdzięczał Karol Rzepickiemu. Zabierając się do rozwiązania go miał już nieco zaufania do siebie. Co prawda rzecz, w miarę jak ją rozwijał, coraz mniejszy stawiała opór, aż mu się to chwilami przestawało podobać, lecz w konstrukcji wszystko doskonale się zgadzało, wielkości pulsowały zgodnie z

oczekiwaniami i dopiero po pewnym czasie spostrzegł, że ścieżki rozumowania wchodzą w siebie jedna za drugą i nie ma z nich wyjścia. Problem zamknął się, odcięty od wszystkich innych jak wyspa. To wzbudziło w nim pierwszą wątpliwość.

Tematem była dynamika życiowa komórki. Spróbował wprzebić się w hermetyczny obszar od strony fizyki atomowej, przeżył pierwszy wstrząs. Wprowadzone w tryby rachunku wymiary cząstek zwinęły się nagle i w następnych przekształceniach zawijały do góry nogami: stały się ujemne, pozbawione realnego znaczenia. Co gorsza, z najbardziej, zdawałoby się, przejrzystego miejsca wypełzła nieskończoność, której w żaden sposób nie mógł się pozbyć. Począł więc wracać drogą, która go tu doprowadziła, badając każde spojenie wyrażen, każdy znak, wszystko jednak było pewne, klarowne, osadzone jedno na drugim i wzajem się wspierające jak kondygnacje architektoniczne.

Doszedł wreszcie do samego punktu wyjścia, do założeń, które przyjął milcząco od Rzepickiego, bo ten z kolei wziął je od innych badaczy — nie można było cofać się dalej. Wtem spostrzegł rzecz, która zaostrzyła jego uwagę.

Przy zakładaniu podwalin całej teorii użyty został pewnik, jak się zdawało, niezbędny, i w dziedzinie wyższej matematyki tak oczywisty, jak oczywiste jest dla uczącego się rachować dziecka, że dwa a dwa jest cztery. Tak, pewnik był oczywisty, lecz nie dawał mu spokoju. Badał go, odchodził i znów powracał, jakby czując nie dający się umiejscowić fałsz w ogromnym chórze orkiestry. Wtedy wspominał jedno, szczególnie narowiste miejsce u szczytu teorii — i strzelił w nim błysk, od którego zdrzął. Ten oczywisty pewnik był jak wąż gumowy łączący nurka z pokładem okrętu: przy początku drogi nie dawał o sobie znać i dopiero na głębiny odbierał swobodę wyboru; krępował ruchy przykuwając do ciasnej przestrzeni, w której zaczynało się dreptać i w kółko. Karol i wszyscy jego poprzednicy byli od samego początku spętani więzami, które nałożyli sobie bezwiednie.

Był dotąd jak dziecko sięgające ręką po księżyc. Teraz w ułamku sekundy pod uludną powłoką nazbyt prostych równań, ciągnących się między nim a celem jak za prymitywną dekoracją teatralną, wyczuł otchłań. Czy istniała naprawdę? Wątpiąc we własną intuicję — gdyż dowodów na istnienie owego morza ciemności nie miał żadnych — kilka dni borykał się z popękaną budowlą, którą sam niszczył piętro po piętrze, lecz wszystko, co przedsiębrał dla jej uratowania, podobne było do łąt.

Czwartej czy piątej nocy, kiedy z założonymi w tył rękami, Zgarbiony, krążył wśród rozstawionych po hali wraków, aż ciemność w szybach zbladła, rozproszona mlecznym świtem, powiedział sobie: „za mało wiem”. Odtąd przez pięć tygodni wpadał co wieczór do psychologa, milcząc kładł na stół odniesione książki przebiegał rozognionymi oczami po półkach, chwycił nowe i wracał do swojej pracowni. Bywał też i czytał u Rzepickiego. Większość dzieł była w języku angielskim. Znał ledwo kilkadziesiąt słówek, a nie chcąc tracić drogocennego czasu na uczenie się języka, obchodził zdania z różnych stron, by je podważyć i wdrzeć się w sens. Gdy mu się udało schwycić w jednym miejscu myśl autora, czytał dalej coraz szybciej i niejednokrotnie odrywał się od rzeczywistego znaczenia tekstu. Stykając się z nim tylko w nielicznych zrozumiałych punktach, tworzył mimowiednie wariacje danego tematu. Gdzie pojawiała się matematyka, chodził jak po ziemi, ale im więcej napotykał stron „litych”, nie przerywanych równaniami, tym częściej tracił pod nogami grunt i „pływał”. Zdarzyło się tak z pewną książką o mechanice kwantowej, i w ten sposób powstała oryginalna koncepcja, o której Wilk sądził, że ją wyczytał u angielskiego autora, gdy w samej rzeczy była płodem jego fantazji.

Rzepicki dowiedział się przypadkowo o tym zabawnym nieporozumieniu. Jego śmieszność zlikwidowała całą sprawę dla profesora, lecz nie dla Wilka. Problem, w którym uwiązał, pokonał kilkunastu najtęższych matematyków. Dotąd nie śmiał zrezygnować z przetartych choćby częściowo dróg swoich poprzedników. Obecnie odrzucił wszystko. Bez wahania przekreślił najpiękniejsze przejścia własnej konstrukcji, które teraz jeszcze, powtarzane, miały w sobie burzliwe piękno stromych pasaży muzycznych. Wszystko to zostało zniszczone. Tam, gdzie przedtem wznosiła się strzelista teoria, była próżnia. Walały się w niej szczątki — garść danych z doświadczeń, stałe fizyczne, empirycznie stworzone formuły — nic więcej.

Przepaść oddzielająca fizykę od biologii, nad którą rozmaici badacze — a nie ostatni wśród nich Rzepicki — usiłowali wnieść połączenie choćby chwiejne, chociażby tymczasowe, ziała ciemniejsza niż kiedykolwiek. Wilk skoczył w nią głową w dół.

Żadna znana metoda nie była przydatna. A więc, powiedział sobie, trzeba stworzyć nową. Tak postawione zadanie otwierało przestrzeń całkowitej wolności, lecz nigdzie tak jak w matematyce nie łączy się najpełniejsza swoboda z najwyższą koniecznością. W rozwierającym się labiryncie mógł wybrać dowolną drogę, lecz która z miliona prowadziła do celu?

Spędzał noce skulony w kącie kancelarii, uderzając się ołówkiem w wyszczerzone zęby czerwieniejące odbitym ogniem paleniska, w którego otwór wpatrywał się ślepo. W głowie przewalały się

miriady pomysłów. Nieliczne unieruchamiał na chwałę i obudowywał konsekwencjami, jakby napinając takielunek szykowanego do podróży żaglowca. Najczęściej pokrywały się rysami i rozpadały. Rzadko który pomysł ostał się pierwszej próbie. Rosnąc, przezroczysta budowla przepelniała wyobraźnię, wtapiając się w jej coraz ciemniejszy, ledwo świadomością ogarniany horyzont. Musiał wtedy przerzucać dalsze formuły na papier. Spoglądając w czarne znaki równania widział zawarte w nim możliwości, jakby ktoś, wpatrzony w spęczniały odwłok mrówki-królowej, ogarniał całe pokolenia, które się z niej wylęgną, był obecny we wnętrzu wszystkich naraz potomnych mrowisk, jakby pojmował właściwy każdemu z nich rytm pulsującego natężonym milczeniem życia, i — jednocześnie! — wyobrażał sobie w zupełnej ciemności drogi tysięcy i tysięcy czarnych stworzonek, krążących podziemną siecią korytarzy.

Prześwietlając wyrażenia myślą, odkrywał zamknięte w nich załączki przemian, które kielkowały i rozwijały się pod jego wzrokiem, i, jedno po drugim, gdy zawodziły na jakimś kolejnym szczeblu przekształceń, odrzucał precz, powracając oczyma do płomieni.

Nareszcie znalazł system zwarty i ostry jak kryształ, lecz kryształ pobudliwy, bo zmianę jednego z podstawowych węzłów natychmiast odzwierciedlał metamorfozą całej struktury. Niezmiernie jasny, im wyżej się weń wstępowało, tym piękniejsze odsłaniał kondygnacje. Wilk rzucił się naprzód, lecz niebawem wstrzymała go nowa, niepojęta przeszkoda.

System rzeczywiście był sprawny i zwarty, lecz cały ugiął się w jedną stronę i odchylenie to, zrazu nieznaczne, groziło rozminięciem, się z celem, ku któremu Wilk dążył. Spróbował odkształcić go i naprostować, jak dźwignią, przystawioną we właściwym miejscu machiną matematyczną, lecz wówczas ta ogromna budowla Zeskoczyła cała w drugą stronę — w odchylenie o znaku przeciwnym, szydząc z jego wysiłków. Wnet pojął, że takie szamotanie się do niczego nie prowadzi.

Znowu płynęły noce czuwania, gdy w ruchomy kwadrat ognistego paleniska rzutował próby ratunku — wszystkie daremne. Raz siedząc tak, wyczerpany, zdrzemnął się i obudził z głuchym okrzykiem: wiedział!

Poderwawszy się do swych papierów, raz jeszcze przemknął wzdłuż toru dotychczasowych obliczeń, ale patrzył teraz na nie nowymi oczami, niejako od zewnątrz.

Jak astronom z zakłóceń ruchu gwiazdy odgaduje obecność w jej pobliżu nieznanego ciała niebieskiego, tak Wilk ze zniekształceń, którym podlegał jego system, odczytał istnienie niewidzialnego dotąd układu, będącego źródłem oporów.

Jedną po drugiej wyluskiwał z obliczeń deformacje, a gdy zestawiał je razem, same wskazały mu kierunek poszukiwań i ku swemu najwyższemu zdumieniu odkrył owo jądro ciemności w pobliżu łatwego, wielokrotnie mijanego przejścia. Zaledwie zaś wtargnął w to tajemnicze miejsce, nastąpiło gwałtowne i zupełne odwrócenie pojęć. To, co brał za źródło zaburzeń, które należy usunąć, w rzeczywistości okazało się centralnym obszarem całego zagadnienia, a system przezeń odkryty był tylko małą, jasną gwiazdą, podporządkowaną ciemnej całości, w dodatku gwiazdą błędną, bo przyciągając uwagę swą krystaliczną przejrzystością, zwodził, nieużyteczny, z właściwej drogi.

Błąkając się dotąd, uchwycił wreszcie jedyny kierunek i ruszył naprzód. W miarę jak wykonywał działania Wielkiej Analizy, mrok powracał i gęstniał. Jakiś czas prowadził matematykę, kierując nią jak narzędziem, lecz potem role się odwróciły. To ona wiodła go za sobą. Całymi godzinami przebiegał z jednego równania w drugie, każdy użyty wzór był jak drzwi, za którymi ukazuje się galeria innych; niecierpliwym, pragnął rzucić się na przelaj, wyrwać się przemocą z płaszczyzny rozważań w górę, skąd ujrzałby całą rzeźbę nieznanego ładu wraz z torującymi mu drogi, rozstawionymi ogromami machin matematycznych — lecz wpadał wówczas w ślepe uliczki, w których daremnie szamotał się z puchnącymi łańcuchami podstawień. Po obu stronach szlaku czyhały nieskończoności — jeden fałszywy krok, a cały rachunek topił się w nich jak w grzęzawisku. Czasem najprostsze prawidło, puszczane w ruch w nieznanym terenie, zahaczało o dziesiątki rzekomo dawno już pokonanych spraw i wlokło je za sobą. To znów pozorna furtka wiodła w taki gąszcz, że można w nim było błądzić całymi miesiącami. Poruszał się wówczas na jednej z miliarda drózek jak pająk sunący po zawieszonyj w mroku pajęczynie, mętym domysłem ledwo odgadując niezmierny kształt całości.

Wydarzały mu się dziwne przygody, dające się porównać chyba z ujrzeniem w lustrze własnej twarzy do góry nogami. Czasem, kiedy niepostrzeżenie omylił się i w niedozwolony sposób spoił złącza wyrażań, budowla nieznacznie ugięła się w owym miejscu i błąd, zrazu niewidoczny, w miarę jak się od niego oddalał, coraz gwałtowniej zniekształcał wynikanie nowych form, aż płaszczyzna rozumowania stawała znienacka dęba szydzącym nonsensem. Zaciskał wtedy pięści, wściekle przygniatał papier i cofał się krok za krokiem, badając przebyta drogę.

Szły noce pełne deszczu zastygającego w lodowe igły i pobielone śniegiem siadającym ciężko na dachu, który głucho odzywał się wgniataną blachą. Czasem nagły podmuch wyrzucił garść popiołu z paleniska na powierzchnię papierów, nad którymi śleczął; strzepywał go z niecierpliwością i pisał dalej. Wśród znaków pojawiały się i znikwały zrazu rzadko, potem coraz częściej zależności funkcyjne, przypominające poszukiwane przejścia jak fragment jednej melodii — drugą. To znów składowe szukanego równania mrugały doń spośród bieżących wyliczeń, jakby w nich było ono głęboko zapoczwazzone; czasem chwyt, zastosowany dla usunięcia drobnej przeszkody, zesuwał odległe części budowli, aż gmachy matematyczne zrastały się i stawał przed głuchą ścianą. Trwał wtedy nieruchomo, a wola jego zdawała się wzbierać jak napływająca woda; wszystkie siły, skupione w jednym kierunku, potężniały, aż nieznanne pękało jak izolator przebity gwałtownym wyładowaniem. Następna chwila, w której zwlekał z rzuceniem na papier rozwiązania, pełna była niewypowiedzianej, milczącej dumy.

Stał się ponury, warkliwy, najchętniej pracował gdzieś w kącie hali, przy motorze, sam, bez pomocników. Po południu biegł do Rzepickiego, by ogromnymi haustami łykać książki. Nie było już dzieła, którego zrozumienie przychodziłoby mu z trudem, lecz to go bynajmniej nie pocieszało. Ludzie unikali jego prawie granatowego wzroku. Chodził ciężko, szeroki w barach, wyglądający na lat co najmniej dwadzieścia, zapominał o jedzeniu, odwykał od snu, a kiedy weń przemęczony wpadał, oszalałymi zwojami wiły mu się w pamięci gordyjsko splecione krzywe. Czasem śnił bez jakichkolwiek obrazów czy słów, samą matematyką, która tysiącem prędkich równań wypełniała mu głowę. Budził się błady, z wyschniętym gardłem, w pełnej ciemności styczniowego ranka, tak uparcie wpatrując się w rubinowe krawędzie dogasających w piecu węglików, jakby usiłował z nich wyczytać rozwiązanie zagadki.

Niespodzianie przy jakimś błahym podstawieniu wszystkie współczynniki elementów łukowych poczęły niepokojąco rosnać, a gdy zacinając usta w przeczuciu kłęski odważył się wprowadzić do równań entropię, aparat analityczny, który kosztował go trzy miesiące wyteżonych dni i bezsennych nocy, zawiódł.

W nocy, po krótkim kamiennym śnie otworzył oczy na swym „łóźku” z poduszek samochodowych. W kancelarii panował mrok, piecyk ostygł już, wiatr huczał głucho w rurze kominowej. Zbudziło go olśnienie; głęboko oddychając szukał dygocącymi rękami ołówka w zwisającej z krzesła bluzie. Po chwili siedział już przy stole. Przekształcenia rozwijały się jedno za drugim, leciały pochyło litery greckie i łacińskie, droga wiodła prosto jak strzełił — nagle znieruchomiał z podniesionym do ust ołówkiem, wpatrzył się w ostatni napisany wyraz, z upokarzającą dokładnością przekaligrafował jego znaki, otoczył je prostokątną ramką i wybuchnął szczerzącym śmiechem: wrócił do punktu wyjścia. Ogarnęła go wściekłość. Porwał kartki na drobne strzępy, cisnął do popielnika i oparł głowę na dłoniach, osuwając się powoli nad stołem. W głowie kotłowały szczątki zależności, jakiś podskakujący ironicznie pierwiastek przekształcał się w długi szkielet równania drgającego z jednej formy ku drugiej i kusił do rozpoczęcia nowej próby. Zarazem jednak tłem owych porozrywanych myśli było ciemne przeświadczenie, że praca jest daremna. Poruszał się wciąż w tym samym kręgu, wszystkie wypadki w górę przypominały rozciąganie gumowych ścian, które napinały się coraz bardziej, by w końcu odrzucić go wstecz.

Napisał na pustym arkusiku swój cel, tensor materii:

$$G^{\mu}_{\nu} - \frac{1}{2} g^{\mu}_{\nu} G$$

i zapatrzył się weń, aż mu głowa opadła na stół. Zasnął siedząc. Na drugi dzień była sobota. Gdy został po pracy sam, począł krążyć wokół stołu; kilka razy przystępował doń, ale cofał się. Nie miał odwagi. O czwartej przyszedł łącznik od Osy i polecił mu zanieść wszystkie gotowe zapalniki do Siewacza. Zadowolony, że ktoś zmusza go do porzucenia złośliwie uwięzłego problemu, składał gotowe części w hali garażowej. Ponieważ brał mróz, rozlał do rozstawionych na betonie blaszanek spuszczonej z samochodów benzynę i zapalił ją. Krzątał się przy imadle wśród czerwonych, nierówno łopocących płomieni. O piątej poszedł do Wielenieckiego. W półmroku sypał śnieg pędząc wraz z powietrzem nieruchomą masą, jakby zatopiony w niebieskie szkło.

Psycholog chciał go przeegzaminować z jakiejś ostatnio czytanej książki, ale Wilkowi wszystko się mieszało. Zły i zawstydzony wstał przed szóstą:

— Muszę już iść.

Podniósł swoją starą, łataną teczkę, teraz bardzo ciężką, bo wypchaną zapalnikami.

Wieleniecki odprowadził go do drzwi.

— Jutro niedziela, może przyjdiesz? Przerobimy drugi rozdział — tam są pewne niejasności.

— Wie pan... chciałbym skończyć... tamtą książkę, geologię...

Pierwszy raz skłamał: chciał być sam. Śnieg leżał w ulicach niepokalanie czysty, z rzadka poznaczony zagłębieniami śladów, które wypełniały się coraz mroczniejszym błękitem. Nie wiedział wcale, dokąd idzie. W pewnej chwili potknął się o zasypany stopień kamiennych schodów. Było mu bardzo zimno. Podniósł głowę: w górze majaczył na fioletowym tle kształt czarny, wysmuklający się z dwu stron, jakby gigantyczny nietoperz kulił spiczaste skrzydła. Machinalnie wszedł po stopniach. Na podeście mniej było śniegu. Namacał obite gwoździami odrzwia. Poddały się. Z mroku granatowego wszedł w mrok żółtawy, z przymieszką czerwieni. Pchnął drugie drzwi o szklach drobnych, ujętych w łożowaną ramę jak pszczeli plaster. W głębi ziała nawa kościoła — dwa szeregi kolumn pod niewidzialnym sklepieniem. Wokół ołtarza migotały sinawymi płomykami świece. Wyżej białeły w niespokojnym świetle ogromne stopy ludzkie, przybite gwoździem do pionowej belki. Szeregi ław były puste. Biegające łaty światła odmywały z ciemności złociste aureole, postaci świętych i aniołów. Wilk usiadł w ostatniej ławce. Opuściwszy głowę na piersi, trwał nieruchomo. Cisza zamknięta była w kościele jak we wnętrzu kamiennego pęcherza, o który ocierał się wicher. Odczuwał wielkie zmęczenie. Mięśnie karku kłuły go, ramiona ciążyły, a podnosząc oczy dostrzegł drobne drżenie palców ręki, która zwisała biernie z pulpitu. Nawet się temu nie zdziwił, tak było mu wszystko jedno. Zapatrzył się w trzepocący płomyk świcy, oddech prawie nie poruszał jego piersią, trwał w zupełnym bezwładzie, w kojącej pustce, zatracił poczucie czasu, nie pamiętał nawet, gdzie jest. I wtedy jak przenikający sztych trafiło go zdanie:

„...Należy wyjść z iloczynu tensorialnego modułów podstawiając za monoidy struktury grupowe.”

Porwała go szalona, oślepiająca radość. Miał ochotę krzyknąć. Czuł szczęście zalewające go każdym uderzeniem serca — w głowie potężniał coraz jaśniejszy ogień, na którym czarnymi głoskami stawały już wysnuwające się szeregi równań: ależ naturalnie, to było tak oczywiste, tak konieczne, a on błędził przez cały czas jak głupiec, mijając najzwyklejsze w świecie rozwiązanie...

Gdy wstał, zatoczył się jak pijany. Rząd ruchliwych płomyczków w głębi nawy przypomniał mu, gdzie się znajduje. Przeląkł się o teczkę, bo o niej zapomniał. Stała na kamiennych płytach. Podniósł ją.

— Zaniosę i pójdę do siebie — pomyślał. — Jeszcze tej nocy będę miał wszystko.

W drodze usiłował przeprowadzić działania, lecz pojemność jego pamięci była niedostateczna dla konstrukcji tak zawilej. Przemykały mu pod powiekami fragmenty dotychczasowej drogi, jakby rozświetlone od wnętrza. Ocknął się. Sam nie wiedząc jak, trafił pod właściwy dom. Było pusto. Zagwizdał pierwsze takty pobudki. Błyskawica, to znaczy Janek Siewacz, miał odgwiszdać z okna. Dość długo panowała cisza. Chciał zagwizdać powtórnie, ale zobaczył zbliżające się w śnieżycy sylwetki. Szło dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta. Nasłuchiwał, zwrócony w stronę, w którą przeszli, a śnieg tłumił echo oddalających się kroków. Świadomość odrywała się od otoczenia, równania znów pomknęły mu w głowie na chybotliwych torach jak wirujące wkoło płatki śniegu, gdy zgrzytnęło parterowe okno i rozległ się trochę fałszywy odzew. Wbiegł do bramy, po omacku przesadził cztery schodki i przez otwarte drzwi wszedł do czarnego jak smoła przedpokoju.

— Co się tak długo grze...

Usłyszał, że drzwi trzasnęły. W oczy uderzył go blask wielkiej latarki, dwu ludzi skoczyło nań z boków. Stęknął pod ciosem w kark. Potężnym szarpnięciem odrzucił tego, który wczepił mu się w piersi. Nie czuł, jak trzasło na plecach grube płótno kombinezonu. Drugi podstawił mu nogę i obalił. Kiedy przewalał się z nim po podłodze, nie miał już nadziei; cały wysiłek włożył w to, by z górnej kieszeni bluzy wyciągnąć kartkę podpisaną przez Wielenieckiego. Gdy wbiegli inni i zapłonęło światło, żuł już papier. Poderwali go, szarpiąc i chwytając za gardło, dławili, lecz było za późno. Przełknął papier razem z krwią. Wprowadzono go do pokoju. W krtani czuł dławiący ból, który zmuszał do nieustannego przełykania. Na tle granatowej płachty zaciemnienia siedział z wyciągniętymi przed siebie nogami oficer w mundurze z czarnym kołnierzem. Pod ścianą, przy żelaznym łóżku, którego pościel zmiętą kupą wałała się na podłodze, stali, przedzieleni Niemcami, Osa i Błyskawica.

— Ten? — spytał oficer nie wyjmując ręk z kieszeni.

— Tak.

Siewacz sepleniał; przypatrzawszy się, Wilk dostrzegł, że wybito mu przednie zęby. Spojrzał pod swoje nogi i zdziwił się widząc kleistą kałużę świeżego lakieru. Dotknął jej czubkiem buta: to była krew.

Bolała go zduszona krtani. Poza tym nie czuł lęku ani podniecenia, ani nawet żalu do Siewacza. Przez krótką chwilę pomyślał, że kilka metrów dzieli go od wolności, lecz zakazał sobie podobnie głupich rozważań. Oficer wstał i przechadzał się po pokoju.

— To już ostatni?

— Ostatni — powiedział Siewacz.

Wszystkie książki, wyrzucone z etażerki, leżały wachlując kartkami na podłodze. Za każdym nawrotem Niemiec przydeptywał

kolorowy obrazek jakiejś bajki. Wilk drgnął, bo mimo woli chciał podnieść książkę.

Oficer kiwnął na tęgiego blondyna, który walczył przedtem z Wilkiem

— Pomóż mu.

Siewacz dostał z rozmachu w twarz i zakrzyczał. Z nozdrzy bluznęła mu krew na usta, brodę i ubranie. Przez jej lepkie strumyki wybełkotał niewyraźnie:

— Nie przyjdzie nikt... nikt... żebym tak skonał... Jezu...

— Jellinek, lass die Maschine anfahren! — rzekł oficer do czwartego Niemca stojącego przy drzwiach. Podeszedł do stołu, włożył czapkę i poszukał oczami teczki. Leżała na obnażonej siatce łóżka. Przed domem zaśpiewały cichnąc hamulce.

Karol wyszedł pod eskortą do korytarza. Tu ujrzał starego Siewacza. Drugi Niemiec wyprowadził go z kuchni. Stary zaświecił w niego zeszlonymi oczami. Uderzony w plecy, nie drgnął nawet na twarzy. Wyszedł pierwszy do sieni, zapobiegliwie oświetlonej latarką przez jednego z eskortujących.

W aucie Wilk chciał się porozumieć z Błyskawicą, lecz rozdzielał ich Niemiec. Podróż trwała niedługo. Raz samochód, skręcając ostro, aż zachybotali się na ławkach, wpadł tylnym kołem w dół. Koło zaczęło wirować w miejscu i w Wilku zbudziło się podniecenie, rosnąca gotowość walki, lecz szofer dodał gazu, szarpnął i wóz wyskoczył.

Niebawem stanęli. Drzwi szcęknęły, zabielał śnieg. Pod nastawionymi z biodra pistoletami wysiedli i pogrążając nogi w białym puchu, który zapadał się lekko pod stopami, weszli w wysoką, uchyloną bramę.

Czując, jak buty wyciskają w śniegu ślady, Karol pomyślał, że to po raz ostatni. Od nagłości tej myśli wszystko wokół jakby trochę pojaśniało. Przypomniawszy sobie, że miał na poniedziałek wyczyścić dla Polakiewicza karburator, że na półce kancelarii zostawił książkę Wielenieckiego. Było to tak odległe, jakby pogrążone w jakiejś cudzej, martwej przeszłości.

Korytarz był słabo oświetlony. Zeszli w dół po schodach, potem szli w górę innymi. Na piętrze strażnicy przesunęli rygle w łoża wyżłobione w kamieniu i z otwartej celi buchnął ciężki zaduch. Poruszyło się tam ciemne, wielkie cielsko, jakby spletanego głowonoga.

W pierwszej celi znikł Osa, w drugiej — Janek Siewacz. Ojca jego uprowadzono w inną stronę. Karolowi zdawało się, że pochwycił spojrzenie Błyskawicy, który poruszył wargami jakby mówiąc „daruj”, lecz stojący między nimi strażnik umyślnie oślepił go latarnią.

—Matzke, wo soli der kommen? — spytał kogoś niewidzialnego strażnik prowadzący Karola.

—Weiter, weiter, hier ist alles voll.

Korytarz skręcił, zeszli po czterech stopniach. Tu łączyły się ze sobą dwie galerie. Był to budynek starego klasztoru; łączące się ze sobą kamienne stropy gięły się gotyckimi fałdami. W świetle latarni, wahającej się miarowo na piersi strażnika, mur łyskał czasem iskierkami szkliwa. Poprzeczna galeria, w którą weszli, była oświetlona jeszcze skąpiej. Druciki żarówek żarzyły się czerwono. Strażnik wsadził klucz do zamka i przyparł drzwi nogą. Znał ich fochy. Rozległy się kroki.

— Wer da? — spytał strażnik. Z korytarza błysnęła lampka.

— Ich, Stenzler.

Ciemna sylweta przystanęła w aureoli światła rozlewającego się z zawieszanej na piersiach latarni.

Strażnik naparł i żelazne skrzydło drzwi zgrzytnęło wlokąc się wyoraną w kamiennej podłodze koleiną.

Mroczna przestrzeń rozwarła się przed Karolem. Ciemność bez jednej skazy świetlnej, wiejąca piwniczną wonią butwienia. Pchnięty, przekroczył próg.

Drzwi się zatrzasnęły.